

KAROLINA DERKACZ

LEGENDA LUDOWA

CUDA WIANKI – TOM PIERWSZY

*Dla Moniki – za dobre rady
i nalewkę cmentarną*

Copyright © 2022 KAROLINA DERKACZ

All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © WYDAWNICTWO INITIUM

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: DAGMARA ŚLĘK-PAW

Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ

Koncepcja okładki: PATRYK LUBAS

Wykonanie ilustracji okładkowej: PIOTR SOKOŁOWSKI

DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-96-5



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa: DRUKARNIA READ ME

KAROLINA DERKACZ

LEGENDA LUDOWA

CUDA WIANKI – TOM PIERWSZY

*To nie moje są słowa
To legenda ludowa*

Kazik na Żywo, *Legenda ludowa*



KRAKÓW 2022

I
NA WSI

1

Telefon

Życie w Wisłowicach toczyło się sennym, spokojnym rytmem, wyznaczanym ruchem słońca w akompaniamentcie dzwonnów z kościelnej wieży. Do czasu. To właśnie ten ciepły, lipcowy wieczór popchnął snujący się leniwie wagonik codziennych wydarzeń na nowy tor, skąd poleciał na łeb na szyję ku przepaści wypadków, jakich w Wisłowicach jeszcze nie widziano.

Nic nie zapowiadało nadchodzących zawirowań. Mieszkańcy wioski, wyczerpani po całodzienniej pracy na polach i przy obejściach, oddawali się typowym w tych stronach rozrywkom: grze w karty za pieniądze, biesiadowaniu przy kuflu piwa w lokalnej gospodzie czy modlitwie na wieczornym nabożeństwie za grzeszne dusze tych wyżej wymienionych ochlapusów z karczmy.

Domostwa, oświetlone jedynie wątłymi płomieniami świec i lamp naftowych, podobne były do latarni na tle spowitych mrokiem łanów dojrzałego zboża. Biada temu, kto pałętał się wśród tych pól nocą; bywało tak, że niespodziewanie do uszu nieboraka dobiegał złośliwy chichot, a w nozdrza uderzała pałca ogniem piekielnym woń siarki. Wieść niosła, że to Chochół – polny diabeł – grasuje w wiosce; na dźwięk tej nazwy baby z przestraczem wykonywały znak

krzyża. Najbardziej obawiano się jednak rozdroży, bo to na nich kłębiły się najczarniejsze moce. Aby się przed nimi uchronić, stawiano tam drewniane krzyże, palono znicze, a ziemię kropiono święconą wodą. Mężczyźni zwykle kręcili na te praktyki głowami, nazywając to z wyższością „babskim gadaniem”, jednak zaraz potem upewniali się, czy aby na pewno szczelnie zasunęli drzwi do izby, bo tuż pod oknem coś złowróźnie zaszeleściło. Rano, kiedy słońce przepędzało wszelkie mary, mężczyźni i kobiety ramię w ramię wracali do roboty, zapominając o wszelkich zabobonach i nocnych dziwach... choć na progu już czaiły się te dzieńne.

W chacie państwa Sosnów tego lipcowego wieczoru nic jeszcze nie zapowiadało nieszczęścia. Cała trzyosobowa rodzina zebrała się za stołem w kuchennej izbie, by odpocząć po pracy na gospodarstwie przy partyjce ich ulubionego tyśiąca. Z początku szli łeb w łeb, jednak szala zwycięstwa jak zwykle zaczęła przechylać się na stronę głowy rodziny.

– Dlaczego ja zawsze jestem ostatnia? – Barbara ze złością rzuciła karty na stół.

Pod wpływem tego ruchu płomień w stojącej na stole lampie zachybotał się, a wraz z nim zatańczyły wydłużone cienie trzech postaci. Oprócz lampy naftowej jedynym źródłem światła w tym pomieszczeniu był półprzezroczysty blask księżycowego światła wpadający przez okno. Większą część izby spowijał mrok.

– Nie martw się, Basia. – Zdzisław poklepał nastolatkę pocieszająco po ramieniu. – Kto nie ma szczęścia w kartach, ten ma szczęście w miłości.

Barbara skrzywiła się, nerwowym gestem odrzucając na plecy swój długi warkocz. Po matce miała włosy w kolorze słomy, jednak w pomarańczowym blasku lampy wydawały się rudawe.

– Na miejscu taty byłabym ostrożna z takimi deklaracjami – odparła ironicznym tonem. – Ty zawsze wygrywasz, a to by oznaczało, że jestem dzieckiem z nieszczęśliwego małżeństwa.

– Ojciec chciał cię tylko pocieszyć, a ty jak zwykle rzucaś kąśliwe uwagi – zganiła ją Jadwiga. Matka z córką były wręcz bliźniaczo do siebie podobne z wyglądu, jednak różnice w ich charakterach powodowały częste drobne spięcia, a nierzadko wręcz prawdziwe wyładowania elektryczne.

Zdzisław wygrał kolejną rundę i Jadwiga niechętnie dopisała mu na kartce sto pięćdziesiąt punktów, mrużąc oczy i pochylając się nad stołem, bo wątle światło lampy nie pomagało w prowadzeniu notatek.

– Jeszcze sto dwadzieścia i znowu wygra, ladaco – powiedziała, stukając palcem w rubrykę z napisem „Zdzisław”.

– Trzeba go przeszukać! – Barbara podskoczyła z przejęcia na drewnianej ławie bez oparcia. Był to typowy wisłowski mebel, którego używano tu zamiast krzeseł. – Może ma znaczone karty albo pochował asy do rękawów.

– Nie bądźcie śmieszne – odparł Zdzisław z udawaną urazą. Sprawnym ruchem doświadczony pokerzysta rozdał wszystkim karty. – Powinienem się chyba obrazić za to, że żona i córka pod moim własnym dachem oskarżają mnie o nieuczciwość.

Barbara wzięła swoje karty i skrzywiła się.

– Znowu same dupki...

– Baśka!

– Jopki, mamó, jopki... Tato, też chcę grać jak ty! Powiedz, gdzie się tego nauczyłeś?

– Jak to gdzie? – wtrąciła się Jadwiga. – Ze swoim koleżką, sołtysem.

– Nie mów o nim koleżka – zaprotestował Zdzisław.

– W młodości całe dnie różnili razem w karty – kontynuowała Jadwiga ostentacyjnie ganiącym tonem.

Pan Sosna uniósł palec w geście protestu.

– O przepraszam, nie całe dnie, tylko noce, jak już. W dzień musieliśmy ciężko harować. Zresztą niewiele się od tego czasu zmieniło. No, może tylko to, że już się z sołtysem nie przyjaźnimy – dodał lekkim tonem, z którego nie dało się wyczytać, czy ten fakt wzbudza w nim jakieś emocje.

Jadwiga zadeklarowała sto trzydzieści, Barbara spasowała.

– Nie wiedziałam, że pan sołtys się przyjaźnił z tatą – zauważyła dziewczyna, z rezygnacją opierając twarz na dłoniach.

– Siedzieliśmy w jednej ławce. – W głosie pana Sosny było słycać nutkę nostalgii. – Wiesz, że raz nawet zamieniliśmy się kartkami na klasówce? Ja zawsze byłem prymusem, a Wiktor miał opinię hultaja, choć tak naprawdę był o wiele inteligentniejszy ode mnie. Mawiał, że nie chce tracić czasu na naukę niepotrzebnych bzdur. – Uciekł wzrokiem gdzieś w dal, jakby przed oczami stanęła mu scena sprzed lat.

– Jak widać, można robić karierę w polityce bez wykształcenia – mruknęła jego żona.

– A co się wydarzyło? Pokłóciliście się? – dopytywała Barbara.

– Władza i pozycja uderzyły mu do głowy. Jest za ważny dla takiego plebsu jak my. – Jadwiga miała pod ręką gotową opinię o każdym mieszkańcu Wisłowic. – Już się nie przyznaje do starych znajomych. – Spojrzała na męża znacząco.

Zdzisław popatrzył jej w oczy poważnym wzrokiem.

– Jadwigo, nie będę się z tobą kłócił przy Basi, ale dobrze wiesz, że to wcale nie było tak. Obaj jesteśmy zapracowanymi ludźmi i trochę rozeszły nam się drogi, to tyle.

– A to nawet lepiej. Niepotrzebni ci do szczęścia tacy wątpliwi koledzy – powiedziała pani Sosna z naciskiem.

W izbie rozległ się przesywający odgłos telefonu.

Na ten dźwięk wszyscy zamarli, sparaliżowani, ze wzrokiem utkwionym w to samo miejsce. Płynąca z okna cieniutka woalka księżycowego światła padała prosto na drewnianą komodę, na której stało to diabelskie urządzenie. *Telefon*. Słowo obce i niewróżące niczego dobrego. Zły omen. Większość ludzi w wiosce, oprócz grupki postępowych ekscentryków, stanowczo sprzeciwiała się wprowadzeniu do Wisłowic jakichkolwiek miastowych wynalazków. To niezgodne z tradycją i niepotrzebne – takie zdanie królowało w opinii publicznej. Telefon był jedynym wyjątkiem.

Sprowadzono go do Wisłowic kilka lat temu, po tym, jak dom starego Rucalał spłonął do cna, a sam Rucalał cudem uniknął śmierci w ogniu. Do całej tragedii by nie do-

szło, gdyby wystarczająco szybko wezwano pomoc. Stary Rucala nie miał jednak w okolicy nikogo, do kogo mógłby się zwrócić, gdyż był zwaśniony z połową wsi, musiał więc biec po pomoc aż do sołtysa. W tym czasie z jego wspaniałego niegdyś domostwa został tylko spalony kikut. Po tym wydarzeniu, w celach bezpieczeństwa, sołtys wydał nakaz umieszczenia w każdym domu telefonu. Mieszkańcy Wiśłowic nadal byli nieufni wobec tego wynalazku, używali go więc tylko w nagłych wypadkach. Plotki i pogaduszki nie wchodziły w grę – to można było załatwić tradycyjnym sposobem komunikacji: przy kawce, w sklepie albo w kościelnej ławie przed mszą, bez potrzeby dotykania tego *miastowego cholerstwa*, jak zwykle się je nazywało. Nie telefonowano bez istotnej przyczyny. Dzwoniący aparat oznaczał więc, że działo się coś złego.

– Kyrie eleison! – Jadwiga złapała się za serce.

– Myślicie, że coś się stało? – zapytała Barbara, wpatrując się w telefon tak intensywnie, jakby cały świat zwęził się tylko do tego jednego przedmiotu.

– Zdzisław, odbierz – poleciła pani Sosna.

– Ja? Dlaczego?

– Bo ty jesteś w tym domu mężczyzną.

– Ale ja całym sercem wspieram równouprawnienie.

– Głupie, miejskie wymysły i tyle.

– Ja mogę odebrać! – zaferowała Barbara, zrywając się od stołu.

– O nie, ty jesteś za młoda, to może być coś poważnego – wtrąciła Jadwiga natychmiast. – Może ktoś umarł albo miał wypadek. Jeszcze nam tu dziecko zemdleje.

– Chyba ty – odgryzła się Baśka.

– Czy ty aby nie przesadzasz? – zapytał Zdzisław, zwracając się do żony. – Ma już piętnaście lat, nie jest dzieckiem. Powinna umieć sobie radzić w trudnych sytuacjach życiowych. Baśka, odbieraj szybko, póki się nie rozłączy.

Jadwiga spiorunowała męża wzrokiem, ale nic nie powiedziała.

– Dzięki, tato! – wykrzyknęła Barbara i w te pędy pobiegła do telefonu. Chwyliła słuchawkę z widełek, drugą ręką zgarniając pajęczyny, które ją oplatały.

– Barbara Sosna przy telefon... – Ledwo przyłożyła słuchawkę do ucha, natychmiast ją odsunęła, jakby się oparzyła. Z głośniczka dobiegały szумы i trzaski, a pomiędzy nich bezustannie trajkotał piskliwy głosik. Baśka ponownie nieufnie zbliżyła słuchawkę do policzka i powiedziała:

– Słucham? Proszę zwolnić... Niech się pani uspokoi...

– Boże, kto to jest? – lamentowała Jadwiga. – Co się stało?

– Nie siej paniki – powiedział stoicko Zdzisław. – Zraz się dowiemy.

Barbara przez chwilę próbowała dogadać się ze swoim rozmówcą, po czym zrezygnowana przyłożyła słuchawkę do piersi i zwróciła się w stronę rodziców.

– Tato, to Gienka Obszczydupka z końca wsi dzwoni. Chce rozmawiać z tobą i tylko z tobą.

Nastrój Jadwigi zmienił się momentalnie; plastyczna masa przerażenia uformowała gulę gniewu.

– Co? Czego ta flądra chce od Zdzisława?

– Mówi, że wydarzyło się coś strasznego. – Barbara beznamiętnie wzruszyła ramionami.

– Znowu próbuje cię zbałamucić?! – Jadwiga zgromiła Zdzisława takim spojrzeniem, jakby właśnie przyłapała go na zdradzie.

– Daj spokój. Może naprawdę coś się stało. Odbiorę i zapytam. – Pan Sosna już wstawał od stołu.

– Już ja wiem, o co jej chodzi. – Jadwiga ze złością skrzyżowała ręce na piersi.

Oslawiona Obszczydupka miała opinię krętaczki i manipularki. Jakby tego było mało, od jakiegoś czasu po wsi chodziły słuchy, że ostrzy sobie pazury na Zdzisława Sosnę. Tak się niefortunnie złożyło, że jedno z Sosnowych pól graniczyło z jej podwórkiem. Powiadano, że zawsze, gdy pan Sosna zajmował się pracą na roli, Genowefa wychodziła skąpo ubrana poopalać się na swojej posesji. Te ohydne plotki dotarły także do uszu Jadwigi i od tamtej pory Obszczydupka stała się jej wrogiem numer jeden.

Zdzisław odebrał Barbarze słuchawkę. Jego żona obserwowała go spod przymrużonych powiek.

– Halo... Co? Nie... Nie, Gienka, po co mam iść do ciebie po nocy...

– Zdzisiek, poślij ją w diabły, natychmiast! – syknęła Jadwiga.

Pan Sosna westchnął i kontynuował rozmowę:

– Gienka, albo mówisz, co się stało, albo ja się... Co?... Ale jak to, jesteś pewna?... Kiedy widziałaś ją ostatni raz?... Dobrze... Tak, zajmę się tym jak najszybciej.

ciej... Nie panikuj, proszę, zrobię wszystko, co w mojej mocy... Trzymaj się.

Pan Sosna odłożył słuchawkę i spojrzął na kobiety, które niecierpliwie czekały na dalszy rozwój wydarzeń. Westchnął ciężko.

– No i co? – ponagliła go Jadwiga.

– Gienka twierdzi, że Andżelika zaginęła – oznajmił Zdzisław.

Obszczydupka, niezamężna kobieta w średnim wieku, sama zajmowała się wychowywaniem swojej nastoletniej córki Andżeliki. Tożsamość ojca dziewczyny nie była znana, choć oczywiście po wsi krążyły na ten temat różne teorie.

Jadwiga prychnęła.

– Gorszego pretekstu nie mogła wymyślić? W ogóle od kiedy ty jesteś z nią per *Gienka*?

– Jadwigo, odłóż swoje animozje na bok. Sprawa jest poważna.

– Co niby stało się z Andżeliką? Jak to zaginęła? – dopytywała Barbara.

– Gienka... to znaczy *pani Genowefa* – odparł Sosna z naciskiem – twierdzi, że Andżelika nie wróciła na noc do domu, a wcześniej jej się to nie zdarzało.

– Jeśli poszła w ślady matki, to śmiem wątpić – ironizowała Jadwiga. – Poza tym noc jeszcze młoda, może się szlaja gdzieś po polach i wróci nad ranem.

Zdzisław zignorował jej słowa.

– Basiu, ty znasz Andżelikę. Nie wiesz, dokąd mogła pójść?

– Ja? Przecież my się w ogóle nie kolegujemy. Co niby miałabym z nią robić?

– Masz rację, Basieńko, po co się zadawać z córką Obszczydupki. – Jadwiga z aprobatą pokiwała głową. – Ta to się tylko szlaja po karczmach. W ogóle to sama jest sobie winna; jaka porządna dziewczyna chodzi sama po wsi po nocy?

Zdzisław wyglądał na wstrząśniętego.

– Jak możesz w takiej chwili... Dobrze, porozmawiamy o tym później, teraz nie ma czasu do stracenia. Jadwigo, wyobraź sobie, że chodzi o Basię. Też byś się wtedy tak zachowywała? Też powiedziałaabyś *może wróci nad ranem* i poszła spać?

– Basia, w odróżnieniu od córki tej... tej raszpli, nigdy nie znalazłaby się w takiej sytuacji.

– Ma rację, tato. Umiem o sobie zadbać. – Barbara oparła ręce na biodrach, demonstrując swą samodzielność.

Zdzisław westchnął.

– Dobrze, możecie sobie tu dalej dywagować. Ja idę.

Podszedł do drzwi i chwycił wiszący obok futryny kaszkiet.

– Zdzisław, stój! – Jadwiga zerwała się od stołu. – Co chcesz zrobić?

– Poszukać jej. Gien... Genowefa mówiła, że Andżelika często bywała ostatnio w karczmie. Podpytam tam i pokręcę się po Zagajniku Rucaly.

– Sam?

Pan Sosna zamyślił się.

– Mądrze byłoby w takiej sytuacji powiadomić sołtysa... Ale nie, jest jeszcze za wcześnie. Nie chcę wzbudzać niepotrzebnej paniki. Może się okazać, że to nic wielkiego.

– Nie powinieneś iść sam.

– Dobrze, w takim razie poproszę Braneckiego o pomoc.

Zdzisław narzucił na siebie starą, roboczą kufajkę i otworzył drzwi prowadzące do sieni. W drugim pomieszczeniu panowała okropna ciemnica, której nie było w stanie rozświetlić wątle światło z kuchennej izby.

– Tato, mogę iść z tobą? – wypaliła nagle Barbara.

– O, nigdy w życiu! – Jadwiga aż się zapowietrzyła.

– Ale dlaczego? Sama mówiłaś, że to pewnie nic takiego. W tej głupiej wsi się nic nie dzieje, w końcu jakaś atrakcja. Tato, proszę, pozwól mi!

– Cóż... myślę, że nie ma powodu, żebyś się nie zgodził. – Zdzisław zatrzymał się w progu, z ręką na klamce.

Baśka rozpromieniła się, ukazując dwa rzędy równiutkich, białych zębów.

– Zdzisław! – Jadwiga skrzyżowała ręce na piersi i zamaszystym krokiem podeszła do męża. – Ona nie może się szlajać po nocy. Jeszcze coś wam się stanie.

– Niby co? Przecież będzie ze mną.

– A jeśli...

– Mamo, daj spokój. Sama powiedziałaś, że ja bym się w kłopoty nie wpakowała. Że jestem mądrzejsza od Andżeliki. To teraz się nie wykręcaj. – Barbara stała już przy ojcu, uśmiechnięta i gotowa do drogi. Chociaż miała dopiero

piętnaście lat, wzrostem zrównała się z niewysokim Zdzisławem.

Jadwiga westchnęła.

– No, ale... Przynajmniej dobrze się odziej. Weź chałat ze sobą.

– Mamo, jest ciepło, środek lipca...

– Weź chałat albo nie idziesz!

Barbara przewróciła oczami, ale posłusznie zdjęła ubranie z haka.

– I tak nie włożę – wymamrotała.

– Zdzisław, pilnuj jej... I uważaj na siebie. A! – dodała, gdy ten odryglował drzwi. – Pod żadnym pozorem nie idź do domu Obszczydupki. To paszcza lwa. I siedlisko wszelkiego zła.

– Będę go pilnować, mamo – uspokoiła ją Barbara.

– Ja siebie sam też będę pilnował. Nie ma powodów do obaw, Jadwigo. – Pan Sosna lekko zagiął do dołu daszek kaszkietu w geście pożegnania. Otworzył drzwi i pozwolił Barbarze przejść, a potem sam wyszedł na zewnątrz.

Jadwiga nie od razu wróciła do izby; przez kilka minut stała w progu, obserwując, jak mąż i córka idą ramię w ramię przez spowite mrokiem podwórze.

2

Ciemną nocą

Najpierw udali się do szopy po lampę naftową. Letnie noce w Wisłowicach co prawda bywały bardzo gwieździste, lecz do poszukiwań po polach i zagajnikach potrzebne było oświetlenie znacznie większego kalibru. Wieś pogrążyła się już we śnie i oprócz wątego, chybottliwego światelka migoczącego w oknie ich kuchennej izby wokół nie było śladu żywego ducha. Większość mieszkańców wioski chodziła spać z kurami, a pozostałe nocne marki wolały spędzać późne godziny w karczmie na drugim krańcu wsi. Ta część Wisłowic była spokojna i mało zaludniona.

– Mogę nieść? – Barbara wyciągnęła ręce po lampę.

– Możesz – odparł jej ojciec, przekręcając kurek. Lampa rozjarzyła się pomarańczowym blaskiem, oświetlając zagracone wnętrze ciasnej szopy. – Tylko się nie zabrudź. Jest bardzo osmolona.

Wyszli na zewnątrz. Pan Sosna podparł drzwi szopy grubym drągiem, żeby się nie otworzyły w razie wichury.

– No, to idziemy – odparł, dziarsko krocząc przez podwórek w stronę drogi.

– A tędy nie będzie szybciej do Zagajnika? – zapytała Barbara, wskazując ręką w przeciwną stronę: na dom i ciągnące się za nim pola.

– Mamy poprosić Braneckiego o pomoc, zapomniałaś? Miejmy nadzieję, że jeszcze nie śpi. Ciemno u niego.

Pan Branecki był najbliższym sąsiadem Sosnów, zarówno pod względem miejsca zamieszkania, jak i stopnia zażyłości. Jako właściciel stadniny nie narzekał na lekki trzos, lecz ktoś, kto go nie znał, zapewne nigdy nie pomyślałby, że człowiek ten posiada całkiem pokaźny majątek. Ubrał się skromnie, nie kupował drogich eksponatów, a pieniądze zwykle przeznaczal na swoje dwie największe namiętności: konie i książki. *Po prostu swój chłop* – mawiano o nim. Sam wykonywał większość roboty w gospodarstwie, choć często prosił pana Sosnę o niewielkie przysługi, odwdzięczając się potem różnymi podarkami: słojem pierwszorzędnego miodu z przydomowej pasieki, butlą wybornego wina czy miastowymi łakociami, których nie sposób było dostać w miejscowym sklepie. Stosunki sąsiedzkie można więc było uznać za udane.

Zdzisław i Barbara weszli na piaszczysty gościniec. Od dobrych kilku dni panowały trudne do wytrzymania upały. Noce przynosiły upragnione ochłodzenie, lecz nadal wszystko było wyschnięte na wiór. Piach wymieszany z ziemią unosił się pod naciskiem ich stóp, osiadając na ubraniach. Po kilku metrach skręcili na kładkę prowadzącą na posesję Braneckiego. Całe podwórze okalał masywny, drewniany płot; sąsiad często puszczał swoje ukochane konie samopas, pozwalając im przechadzać się po podwórzu i skubać trawę. Zdzisław pchnął furtkę, która otworzyła się ze skrzypnięciem.

– Ale ładnie tu ma – powiedziała Barbara. Przeszli przez podwórze i weszli po drewnianych stopniach na ganek. Dom pana Braneckiego był większy i bardziej okazały niż skromna chata państwa Sosnów, lecz wciąż utrzymany w tradycyjnym, wiślowickim stylu: dwupiętrowy, ze ścianami z ciemnego drewna i spadzistym dachem krytym strzechą, pod którym skrywał się stryszek. Ganek był ogrodzony płotkiem sięgającym mniej więcej na wysokość bioder, z którego wyrastały cztery ozdobne kolumnienki podtrzymujące trójkątny daszek. Wiklinowy bujany fotel kołysał się delikatnie w takt lekkiego wietrzyku, jakby ktoś przed chwilą z niego zszedł.

Zdzisław kilkakrotnie zakołatał do drzwi. Barbara próbowała zajrzeć przez okno do wnętrza, lecz odbijający się w szybie księżyc uniemożliwiał dojrzenie czegokolwiek. Kiedy mieli już dać za wygraną, w środku rozległ się stukot kroków i dźwięk odsuwania zasuw.

– Cześć, Ryszard – przywitał się pan Sosna, podając rękę gospodarzowi. – Przepraszam, chyba cię obudziłem.

Pan Branecki miał zaspane oczy i koszulę nałożoną tył na przód, lecz gdy tylko dowiedział się, z jaką sprawą przyszli sąsiedzi, natychmiast pobiegł się przebrać.

– Mój syn by pomógł, ale ostatnio rzadko bywa w domu. Ciągłe jeździ do miasta za interesami – tłumaczył, gdy znalazł się z powrotem na zewnątrz, narzucając na siebie w pośpiechu kapotę.

– Nie przejmuj się. Nie jesteśmy nawet pewni, że to coś poważnego, Obszczydupka być może wyolbrzymia sprawę – uspokajał go pan Sosna.

– A tam, lepiej dmuchać na zimne. – Branecki zamknął drzwi wejściowe na klucz i dla pewności jeszcze raz nacisnął klamkę. – Więc idziemy szukać w Zagajniku Rucalę?

– Tam podobno ostatnio często się ją widuje.

– Można się jeszcze pokręcić w okolicy Bezdennego Jeziora. Jak jej tam nie znajdziemy, to szukaj wiatru w polu, może być wszędzie.

– Którędy idziemy?

– Najszybciej będzie na przełaj przez pola.

– Tylko żeby dostać się do Zagajnika, musimy przekroczyć rów. Jedyne pewny most to Kładka Ojca Bławatka.

– A po tamtej stronie nie ma mostów?

– Czasem ktoś położy jakiś pawęż, ale nikomu nie chce się zrobić normalnego przejścia. I tak zaraz je kradną.

– Cholera... Cóż, damy sobie radę, ten rów jest płytki, najwyżej się trochę przemoczymy. I tak będzie szybciej, niż iść gościńcem.

– Tato... – wtrąciła się Baśka stojąca do tej pory nieco na uboczu.

– Co tam?

– Ta spódnica mi zawadza. – Uniosła rąbek długiej, lnianej spódnicy. – Jak będziemy szli przez łąki, to całkiem się zamoczy.

– No tak, z tym będzie problem. Te buty też się nie nadają. – Zdzisław wskazał na jej stopy. Obaj mężczyźni mieli na sobie filce, typowe obuwie męskie w tych stronach, czyli długie, grube gumki. Baśka nosiła lekkie chodaki.

– Potrzebne ci spodnie – zawyrokował Branecki.

– Mama nie pozwala mi ich nosić. *To nie przystoi kobietcie chodzić w portkach jak chłop* – poskarżyła się, małpując Jadwigę.

– No cóż, w tej sytuacji chyba trzeba będzie zrobić wyjątek – powiedział Zdzisław.

– Mam gdzieś w szopie stare spodnie po Wojtku, jeśli cię nie odrzuca chodzenie w takich łachach – zaproponował Branecki.

– Świetnie! – Baśka klasnęła w dłonie.

– Z filcami będzie problem, bo są o wiele za duże. Możesz spróbować napchać w nie siana.

Udali się na tyły podwórza do szopy, w której Branecki wygrzebał parę spodni i ogromne filce. Baśka chwyciła je z radością i wbiegła do środka, żeby się przebrać. Po chwili wyszła dziarsko, z nogawkami umorusanych spodni wpuszczonymi w olbrzymie gumiaki.

– No, Zdzisiek, to ci się dopiero hoża córka przytrafiła! – Branecki się zaśmiał, patrząc z uznaniem na dziewczynę.

– Teraz to rzeczywiście wyglądam jak chłop – powiedziała Baśka z dumą.

– No prawie – odparł Zdzisław, choć to nie była prawda. Nawet w za dużych filcach i spodniach trudno było pomylić Baškę z mężczyzną, gdyż zdradzały ją ładna buzia i długi warkocz.

– No to ruszajmy, nie ma czasu do stracenia. – Branecki zapalił swoją lampę i poprowadził ich na skraj podwórza, gdzie zaczynała się jego łąka. Barbara szybko wyprzedziła mężczyznę i torowała im drogę przez bujne trawy.

- Tylko nie oddalaj się za bardzo – przestrzegł ją ojciec.
- Dobrze, tato.

Przez chwilę obaj szli w milczeniu, z szelestem przedzierając się przez trawę, kolące bodziaki i kępy pokrzyw. Trawy były wysokie i mokre, nieprzyjemnie chłostały mężczyzn w nieosłonięte gumiakami kolana. Ze strony Bezdenego Jeziora docierał do nich to wznoszący się, to opadający koncert świerszczy, niosąc się we wszystkie strony przez czyste powietrze.

- Jak tam przygotowania do wesela? – zagadnął Zdzisław.

Wojtek, syn Braneckiego, zaręczył się z Zofią Nałęcką, córką sołtysa. Nadchodzące wesele było najgorętszym i najbardziej opłotkowywanym wydarzeniem ostatnich tygodni.

- A, jakoś idą.

Zdzisław nie mógł widzieć twarzy sąsiada, gdyż ten torował mu drogę przez zarośla. Z samego tonu głosu dało się jednak wyczuć rezerwę.

– Między nami mówiąc, średnio mi się to wszystko widzi – dodał Branecki, zatrzymując się nagle, by zrównać się ze Zdzisławem. Doszli na skraj łąki i wkroczyli na pole, w którym długimi rzędami rosły krzaki malin.

– Nie odpowiada ci synowa? – zapytał pan Sosna. – Mówią, że to dobra partia.

- Synowa jak synowa. Chyba porządna dziewczyna.

– Nie wydajesz się zadowolony. Przepraszam, to może zbyt osobiste, nie powinienem się wtrącać...

– Nie tłumacz się, Zdzisiu. Znamy się tyle lat. Ufam ci jak mało komu w tej wiosce.

– Dziękuję – odparł Zdzisław, nieco zaskoczony tym stwierdzeniem. Rzeczywiście znali się z Braneckim szmat czasu, lecz nigdy nie byli bliskimi przyjaciółmi, ot, zwyczajne sympatyczne relacje sąsiedzkie i tyle.

– Mam obawy co do rodziny, z którą wiąże się mój syn. A co za tym idzie, po części i ja – kontynuował sąsiad.

Zdzisław spojrzął przed siebie, szukając wzrokiem córki. Barbara znacznie się oddaliła, na horyzoncie kołysało się światełko jej lampy.

– Powiedz mi, Zdzisiu, ale tak zupełnie szczerze: co ty myślisz o naszym sołtysie? Słyszałem, że swego czasu się przyjaźniliście.

Pan Sosna pokiwał głową, nieco zmieszany.

– Tak, ale to było lata temu. Kto ci o tym powiedział?

– Wiesz, jak to jest. Wszyscy o wszystkim wiedzą.

– Widocznie nie wszystko, bo wciąż masz jakieś wątpliwości co do sołtysa.

Branecki szedł chwilę w milczeniu, z rękoma wciśniętymi w kieszenie portek.

– Ja nie wiem, może cię to urazi, ze względu na dawną przyjaźń, nie miej mi tego za złe, Zdzisiu, jeśli tak jest. Ale nie ufam mu po prostu – wypalił nagle.

– Nie ufasz mu jako twojemu przysłanemu swatowi czy jako sołtysowi?

Branecki ponownie się zamyślił.

– Nie ufam mu... nie ufam mu jako człowiekowi.

– Tato! – Z oddali rozległ się głos Barbary.

– Co tam?!

– W którą stronę?

– Zaczekaj na nas!

Mężczyźni przyspieszyli kroku, żeby się z nią zrównać.

– Idziemy do Bezdennego Jeziora czy do Zagajnika Rucaly? – zapytała Baśka, unosząc lampę, gdy się do niej zbliżyli.

– Myślę, że najlepiej się rozdzielić – zaproponował Branecki. – W ten sposób szybciej przeczeszemy teren.

– Tak, to dobry plan – zgodził się Zdzisław.

– Pytanie tylko, kto dokąd idzie?

– Ja chcę do Zagajnika Rucaly! – zawołała Barbara.

– O nie – zaprotestował jej ojciec. – Trzeba przejść przez rów. Po nocy i w za dużych butach może być problem. Lepiej, jeśli pójdziemy razem nad Jezioro, a pan Branecki do Zagajnika.

Ryszard przytaknął. Barbara zrobiła skwaszoną minę, ale nie protestowała.

– Jak się odnajdziemy? – zapytał Branecki.

– Cóż... – Zdzisław zastanawiał się przez chwilę. – Umówmy się, że za godzinę spotkamy się w tym miejscu.

– A jeśli znajdziemy Andżelikę szybciej?

– Wtedy trzeba będzie zawiadomić drugą stronę. Tu jest otwarta przestrzeń, dźwięk daleko się niesie, a ogień powinno być widać z daleka. Jakoś damy sobie znać.

Branecki pokiwał głową.

– Z Bogiem – odparł im na pożegnanie. Przekroczył miedzę, a potem poszedł na przelaj przez pola. Zdzisław z Barbarą ruszyli prosto, w stronę Bezdennego Jeziora.

W miarę jak się do niego zbliżali, cykanie świerszczy stawało się coraz głośniejsze. Księżyc stał wysoko na niebie, czuwając nad ich poczynaniami.

– Dlaczego to jezioro nazywa się Bezdenne? – zapytała Barbara, gdy dotarli na miejsce.

Jezioro to być może zbyt wielkie słowo do opisanie tej zarośniętej sadzawki, ale tak już się przyjęło nazywać to miejsce. Teren wokół niej był podmokły i porośnięty zieliskiem, tak że trudno było określić, gdzie kończy się pole, a zaczyna bagno; jeden krok za daleko i noga zapadała się po kostkę, drugi i siedziałeś w błocku po szyję.

– Kiedyś utopiła się w nim krowa i podobno wypłynęła w innym jeziorze, na drugim końcu wioski – oznajmił Zdzisław, gestem nakazując córce, by podała mu lampę. Chwycił ją i poświecił na kępę wyjątkowo gęstych trzcin. Filce zapadły mu się nieco w niestabilnym gruncie.

Baśka aż podskoczyła z przejęcia.

– Myślisz, że naprawdę tak było?

– Szczerze wątpię – zaśmiał się jej ojciec. Ruszył w prawo, oświetlając sobie drogę i starając się nie przesuwać bliżej środka jeziora, gdzie było coraz głębiej.

Barbara momentalnie przygasła.

– E tam – mruknęła, idąc krok w krok za ojcem.

– Chciałabyś, żeby było bezdenne?

– No pewnie!

– A jaki z takiego jeziora pożytek?

– Pożytek czy nie, ale na pewno jest ciekawiej.

– Ja tam wolę po prostu znać prawdę, nawet jeśli jest nudniejsza od plotek – stwierdził Zdzisław.

– Ale dlaczego ludzie mówiliby, że jezioro jest bezdenne, jeśli nie jest?

– Ludzie lubią gadać. Często jednak ich paplanina mija się z prawdą.

– To dlaczego mama zawsze mi mówi, żebym dbała o to, co mówią o mnie inni, jeśli inni często się mylą?

– No cóż... jeśli wszedłeś między wrony, musisz krakać tak jak one, inaczej cię zadziobią.

Pan Sosna gwałtownie się zatrzymał. Pochylił się, próbując dojrzeć coś w zaroślach.

– Co, widzisz tam coś? – zapytała z przejęciem Barbara, łapiąc się pleców ojca, bo o mały włos nie poślizgnęła się na blocku.

– Nie, wydawało mi się tylko. – Pan Sosna pokręcił głową i ruszył przed siebie, kontynuując poszukiwania.

– Myślisz, że Andżelika gdzieś tu jest?

– Takiej możliwości nie można wykluczyć, ale to raczej mało prawdopodobne. Nikt tu nie chodzi, bo i po co? A Obszczydupka nie ma w tej okolicy pola.

– Czy zdarzyło się kiedyś, żeby w tym jeziorze utopił się człowiek?

Zdzisław podrapał się po policzku pokrytym ciemną trzydniową szczecina.

– Tak – odpowiedział. – Tak, dawno temu, jak jeszcze byłem młokosem.

– I co, wypłynął w innym jeziorze?

Pan Sosna uśmiechnął się smutno.

– Nie. Niestety ciała nigdy nie odnaleziono.

Barbara zamilkła. Odsunęła się nieco od bagnistego skraju.

Spędzili tu dobre pół godziny, obchodząc jezioro całe trzy razy, bo pan Sosna chciał mieć pewność, że niczego nie przeoczyli.

– To na nic – odparł w końcu. – Jeśli coś naprawdę się stało, to i tak po nocy niczego nie zobaczymy. Lepiej pójdźmy na umówione miejsce. Może Branecki czegoś się już dowiedział.

Tak też zrobili. Wrócili na skraj malinowego pola i czekali tam, i czekali. Barbara zaczęła przestępować z nogi na nogę, obejmując się ramionami.

– Włóż lepiej ten chałat. – Zdzisław wskazał na ubranie, które Baśka przewiązała sobie przez biodra.

– Ach, jednak dobrze, że posłuchałam mamy i go wzięłam. Nie jest tak ciepło, jak myślałam. – Barbara posłusznie się ubrała.

– To nierozsądne z mojej strony, że pozwoliłem ci tu być. Powinnaś wrócić do domu.

– Nie, tato, proszę! Już się rozgrzałam! A poza tym jeśli mam wracać, to razem z tobą. Na pewno minęło więcej czasu niż godzina. Pan Branecki pewnie nic nie znalazł i poszedł do domu.

– Wątpię. Pan Branecki umówił się z nami, więc nie mógł ot tak sobie pójść. To bardzo słowny człowiek.

– To czemu tak długo nie wraca?

– Nie mam pojęcia.

Nagle w oddali rozległo się nawoływanie.

– Tato, słyszałeś? – zawołała Barbara, wybiegając nieco do przodu.

Od strony rowu zbliżały się do nich szybko dwie rozchybotane plamy światła.

– Z d z i s ł a w! Z d z i s ł a w! – To był bez wątpienia głos Braneckiego.

– Tu jesteśmy! – odrzyknął pan Sosna.

Przez chwilę panowała cisza, a płomienie stawały się coraz większe. W ich stronę zbliżały się dwie postacie. Pierwszą był niewątpliwie ich sąsiad. Obok kroczył jakiś postawny mężczyzna, który przerzucił sobie przez ramię coś ciężkiego. W końcu obaj podeszli na tyle blisko, że dało się rozpoznać, kim ów mężczyzna był. Oraz co niósł.

Branecki wybiegł Sosnom na spotkanie. Z trudem łapiąc oddech, krzyknął w biegu:

– Znalezliśmy Andżelikę!

3

Siły nieczyste

Jadwiga nie mogła znaleźć sobie miejsca – minęła już prawie godzina, odkąd Zdzisław z Barbarą wyszli z domu. Wciąż za mało, by zacząć panikować, lecz na tyle długo, by poczuć realny niepokój. Chodziła po całej izbie kuchennej, od okna do pobielanych drzwi spiżarni, okrążała stół, przysiadowała na chwilę na drewnianej ławie, by nagle zerwać się i wyrzucić na podwórko. Kilka razy już zdejmowała chustę z haka przy drzwiach, szykując się do wyjścia na poszukiwania, lecz zanim zdążyła wyściubić nos za próg domu, głos rozsądku zwyciężał; nie miała przecież pojęcia, dokąd dokładnie poszli jej mąż i córka, a szukając ich po całej wsi, mogła się najzwyczajniej w świecie z nimi minąć. Poza tym to dopiero godzina...

Po raz nie wiadomo który odsunęła zasłonkę i wyjrzała przez okno, skąd roztaczał się widok na fragment podwórza, kontury domu Branceckiego i ledwo dostrzegalną w mroku wstęgę drogi. Księżyc przeglądał się w blaszanym daszku studni i wiadrze kolebiącym się nad jej czeluścią. Obraz spokojny i sielski, lecz w pewien sposób również niepokojący. Brakowało w nim sylwetek ludzi.

Jak głosi ludowa mądrość, beczynne czekanie skłania do ponurych myśli, lepiej więc zająć czymś ręce. Tak też

zrobiła: wyjęła z komody niedawno zaczęłą robótkę i usiadła przy stole, próbując skupić się na pracy. Jej piękne chusty były chlubą całej wsi, handlarze chętnie je kupowali i sprzedawali w mieście, gdzie podobno panowała moda na ludowe stroje, dlatego schodziły jak świeże bułeczki. Jadwigę jednak niezbyt obchodziło, co tam sobie noszą miastowi; Wisłowice były całym jej życiem i nie zastanawiała się zbytnio nad światem, który znajduje się poza ich obrębem.

Praca szła jak po grudzie. Ręce, zwykle tak zwinne i staranne, dzisiaj odmawiały współpracy, a spod palców wychodziły koślawe sploty. Za taką fuszerkę żaden handlarz nie zapłaciłby złamanego grosza, nie przerywała jednak pracy, uparcie dodając nowe oczka. Co chwila podnosiła głowę, zerkając niepewnie w stronę okna. Kilka razy coś zaszeleściło w krzakach na zewnątrz, innym razem zastukało na schodach coś, co brzmiało jak... kopytka? Nie, to musiała być wina starej pani Ordonowej, która poprzedniego dnia naopowiadała jej niestworzonych historii o diabłach. Zwykła nadwrażliwość i tyle. Wyostrzone zmysły, które nadinterpretowują rzeczywistość. Ponownie pochyliła się nad robótką. Wtem ktoś – lub coś – złośliwie zachichotało. Był to dźwięk tak wyraźny, że nie sposób go złożyć na karb wybuchającej wyobraźni. Coś śmiało się wrednym, piskliwym głosem tuż pod domem. Jadwiga nie wytrzymała i zerwała się z miejsca.

Położyła rękę na piersi, żeby uspokoić rozszalałe serce, i z wolna podeszła do okna. Stojące na parapecie nasturcje nie pozwalały jednak dostrzec, co znajduje się obok samej

podmurówki. Pani Sosna zrobiła więc coś, co wydawać się mogło niebotycznie nierozsądne w tej sytuacji: odsunęła doniczkę na bok, otworzyła okiennice i wychyliła się na zewnątrz, spoglądając w dół.

Pusto. Uśmiechnęła się do siebie, lecz zbyt pochopnie. Wraz z lekkim powiewem wiatru do izby wdarła się okropna woń spalenizny. Pani Sosna gwałtownie się wyprostowała, chcąc zamknąć okno, by jak najmniej tego smrodu dostało się do domu, lecz gdy podniosła głowę i spojrzała w kierunku gościńca, skamieniała z trwogi. Na środku traktu, naprzeciwko jej domu, stała postać. Ciemność nie pozwalała wyraźnie dostrzec jej wyglądu, lecz była to sylwetka mała i pokraczna, o za długich rękach i zgarbionych plecach. Nieludzka...

Jadwiga zamknęła z hukiem okiennice, aż dziw, że nie zbiła przy tym szyby, i raz po raz wykonując znak krzyża, podbiegła do komody. Wyjęła z niej różaniec oraz pękata gromnicę i trzęsącymi się rękoma zapaliła knot. By pozostać jak najdalej od okna, wyciągnęła rękę z gromnicą przed siebie. Ustawiła ją na parapecie i czym prędzej czmychnęła w drugi kąt izby, przyciskając do piersi różaniec. Oparła się czołem o ścianę, oddychając głośno. Wdech. Wydech. Wdech. Wyd...

Rozległo się pukanie do drzwi.

Urwany krzyk przerażenia wyrwał się z jej ust, zanim zdążyła zatkać je dłonią. Diabeł ani inne licho raczej nie byłoby na tyle cywilizowane, żeby pukać do drzwi. Z drugiej strony mógł to być podstęp sił nieczystych; źle nie mo-

gło dostać się do chaty bez zaproszenia, gdyż strzegł ją wypisany nad drzwiami święconą kredą napis K+M+B. Jeśli Jadwiga otworzy, sama wpuści лихо do środka. Wciąż jednak to mógł być pan Branecki z wieściami o Andżelice... Pani Sosna wstała, masując dłońmi kolana, by uspokoić ich drżenie. Obeszła stół, zachowując jak największą odległość od drzwi, i otworzyła kredens, z którego wyjęła kropidło ze święconą wodą. Uzbrojona w kropidło w jednej ręce i różaniec w drugiej, otworzyła drzwi i weszła do mrocznej sieni. Ostrożnie odsunęła skobel.

– Teraz albo nigdy – dodała sobie otuchy na głos.

Rękę z różańcem położyła na klamce. Policzyła do trzech i na trzy otworzyła raptownie drzwi, wymachując jednocześnie lewą ręką, by rozbryzgać święconą wodę.

– Olaboga! – Gienka Obszczydupka odsunęła się zaskoczona, uciekając przed lecącymi w jej stronę kropelkami. – Jadźka, coś ty, oczadziała?

Wszelki strach natychmiast opuścił Jadwigę niczym powietrze z przekłutego balona.

– Ach, to ty – powiedziała z niesmakiem, opuszczając rękę z kropidłem.

– No ja, a niby kto? – Obszczydupka zbliżyła się nieufnie i zaczęła zaglądać ponad ramieniem Jadwigi. – Zdychu jest?

– *Pan Sosna* nie wrócił jeszcze. Naraża się dla twojej córki.

– Ach, w takim razie zaczekam tu na niego. – Obszczydupka chwyciła za klamkę i bezceremonialnie włądowała się do izby, odpychając Jadwigę ramieniem.

– Święci Pańscy! – zawołała za nią gospodyni. – Nie jesteś u siebie, żeby się tak wpraszać.

– Och, przestań, Jadźka. Przecież mnie nie wyrzucisz w obliczu mej tragedii. – Obszczydupka zatrzymała się w progu kuchennej izby i niewinnie zatrzepotała obficie wytuszowanymi rzęsami.

Nawet w słabo oświetlonym pomieszczeniu uważnemu obserwatorowi nie mógł umknąć fakt, iż Genowefa była kobietą dość nadszarpiętą zębem czasu, choć skrzętnie maskowała to grubą powłoką makijażu. Na czubku jej kasztanowych włosów spoczywał modnie przekrzywiony kapelusik, którego rondo było w kilku miejscach obszarpane, jakby myszy wzięły go w obroty. Sukienka Obszczydupki była strojna, lecz wypłowiała, a na ramionach spoczywał długi jedwabny szal, wyraźnie dziurawy w kilku miejscach. Spowijająca Obszczydupkę woń kwiatowych perfum od razu wyparła odór spalenizny, choć niekoniecznie była to dobra zmiana.

Jadwiga zamknęła kuchenne drzwi, nie spuszcżając Genowefy z oczu.

– Ta tragedia jest wątpliwa. Jeszcze nie wiemy, czy w ogóle coś się stało.

Obszczydupka bez zaproszenia usiadła na ławie. Światło lampy nieco ożywiło zaśnieżoną biżuterię, która zdobiła jej nadgarstki i palce.

– Córeczka ma, Andżelika, nigdy się nie spóźnia. To dziecko z dobrego domu, nie jakaś byle latawica, co to całymi dniami po wsi łązi. Jeśli nie wróciła, to znaczy, że coś jest na rzeczy.

Jadźka stanęła obok stołu, patrząc na Obszczydupkę spode łba.

– Do czego pijesz?

– Ach, do niczego, do niczego, absolutnie... Kiedy Zdzisiek wróci?

Gienka wyjęła puder ze swej wyszywanej koralikami torebki i zaczęła poprawiać makijaż.

– *Pan Sosna* wróci, jak wróci. Nie twój interes. Dlaczego nie poszłaś szukać swojej córeczki, tylko przylazłaś tutaj?

– Ja? – Obszczydupka była szczerze zaskoczona tą sugestią. – Nie wiem jak ty, Jadwigo, ale ja jestem zdania, że atrakcyjna kobieta w średnim wieku nie powinna chadzać sama po nocy, bo to stanowi idealną pożywkę dla wszelkiego rodzaju zboczeńców. No, ale cóż, jak widać, niektórzy nie mają tego typu problemów. – Niewinnie wyduła usta.

Jadwiga zignorowała ten ewidentny przytyk.

– Boisz się szukać córki, ale przyjść do Zdzisława już nie?

Genowefa pociągnęła usta szminką.

– Oj, Jadziu, przecież to spokojna okolica... W odróżnieniu od tej, gdzie ja mieszkam. Sami pijacy i kryminaliści. Ten okropny dziad Rucala, jego syn podpalacz i cała zgraja bękartów, jak żyć w takim miejscu, jak żyć? – zapytała filozoficznie.

– Tak się jednak składa, że mieszkasz na samym końcu wsi, więc żeby dotrzeć tutaj, musiałaś przejść obok domów Rucalów, Paszczaków i wszystkich innych. A jednak się bałaś.

– Czego się nie robi dla córeczki.

Jadwiga westchnęła z rezygnacją. Dialog z Obszczydupką stanowił ciężką przeprawę.

– Dobrze, mniejsza z tym... Gienka?

– Słucham?

– Czy ty... czy możesz się zaśmiać?

– Że co?

– Chcę zrobić mały eksperyment. Zaśmiej się.

Obszczydupka popatrzyła nieufnie na Jadwigę, unosząc cienkie kreski odrysowanych brwi.

– Jadźka, czy to jakiś podstęp?

– Żaden podstęp, zaśmiej się po prostu.

Gienka wymownie przewróciła oczami, ale zaśmiała się cicho.

– Możesz głośniej? I bardziej przekonująco.

– Oczadziła na stare lata... Hi, hi, hi!

– Ani trochę to nie brzmi prawdziwie.

– To daj mi powód do śmiechu – obruszyła się Obszczydupka. – Nie umiesz mnie rozbawić i tyle. Możesz mi łaskawie wyjaśnić, o co ci w ogóle chodzi?

– Pięć minut temu słyszałam jakiś chichot pod oknem. Myślałam, że to ty.

– Jadwiniu, wiesz, jak to jest: z wiekiem pewne rzeczy szwankują i widzi się, i słyszy różne deliria... Napiłabym się herbatki, zrobisz?

Jadwiga zmrużyła oczy, ale nie odpowiedziała. Patrzyła przez chwilę na Obszczydupkę spode łba, by po chwili sięgnąć po stojący na fajerce imbryk.

– Lubię herbatki owocowe, najlepiej z róży albo wiśniową. Torebka zaparzona w małej porcelanowej filiżance, kostka cukru i kilka kropel śmietanki.

Tym razem pani Sosna nie wytrzymała.

– Jeszcze słowo, a zawartość tego imbryka znajdzie się na twojej głowie – wycedziła.

Gienka przybrała minę niewiniątka.

– Dobrze, dobrze, Jadwiniu, nie obruszaj się tak. Może być zwykłe krowie mleko, jeśli nie macie śmietanki...

– Czarna herbata w metalowym kubku, to ci mogę zaproponować.

– Warunki polowe... dobrze, niech będzie.

Pani Sosna schyliła się, żeby nabrać wody z wiadra.

– O nie... – westchnęła.

– Coś się stało, Jadwiniu?

– Nie ma wody.

– No to idź do studni i przynieś – zarządziła Obszczydupka, wzruszając ramionami. Wróciła do pudrowania twarzy.

Jadwidze wyraźnie nie uśmiechała się idea wyjścia na dwór. Popatrzyła przez okno na podwórze, a potem przeniosła wzrok na niechcianego przybysza.

– A może ty przyniesiesz? Jesteś taka odważna, nie bałaś się tu przyjść po nocy.

– Ja? – Gienka była szczerze obruszona. – Jestem twoim gościem, to się nie godzi.

– No to nie będzie herbaty. – Pani Sosna z hukiem odstawiła imbryk na kredens.

– Ej, Jadźka, nie unoś się tak. Strasznie chce mi się pić, od was do mojego domu będą chyba ze trzy kilometry, to nie byle dystans, a ja nie jestem już pierwszej młodości.

Jadwiga ostentacyjnie rozłożyła ręce.

– No dobrze, niech stracę – westchnęła Genowefa, jakby robiła pani domu ogromną przysługę.

– Świetnie.

Jadwiga chwyciła wiadro, weszła do sieni i odchyliła drzwi. Wyrzała ostrożnie na zewnątrz. Studnia znajdowała się około dziesięciu metrów od wejścia.

Obszczydupka podeszła do pani Sosny i wyrzała sponad jej ramienia. Była niemal o głowę niższa od wysokiej Jadwigi.

– No, widzisz, jak bliziutko? To ty idź, a ja będę cię asekurować z progu – zaproponowała.

– Nie ma mowy, idziesz ze mną.

– Jadźka, ale czego ty się boisz? Przecież cię lichy nie porwie. Złego diabli nie biorą, he, he.

– Nie gadaj, tylko chodź.

Jadwiga ostrożnie przestąpiła próg domu. Gienka westchnęła i poszła za nią, stukając obcasami pantofli o betonowe schody.

Księżyc stał już wysoko na niebie, a gwiazdy wciąż świeciły mocno. W oddali słyhać było rytmiczne cykanie świerszczy, które zdawało się wypełniać całą przestrzeń delikatnym wibrowaniem.

– Coś długo nie wracają – powiedziała Jadwiga, bardziej do siebie niż do Genowefy. Zakręciła korbą. Wiadro zawieszona na grubej linie z jęknięciem zaczęło się wspinać.

- Rzeczywiście. Gdzież ten Zdzichu się podziewa?
- Co cię obchodzi Zdzich? Martw się lepiej o swoją córkę.
- No tak, tak. Moja biedna córeczka, biedna, biedna – odparła Obszczydupka mechanicznie.

Jadwiga chwyciła wypełnione po brzegi wiadro, przelała jego zawartość do swojego kubła i powiedziała:

- No, możemy wracać.
- Patrz, diabeł! – krzyknęła Obszczydupka, wskazując palcem w stronę drogi.

Jadwiga pisnęła i upuściła wiadro, które głośno uderzyło o ziemię, rozchlapując wodę na trawę i jej spódnicę.

- Co, gdzie?!
- Obszczydupka zachichotała.
- Wybacz, Jadziu, nie mogłam się oprzeć. Żebyś widziała swoją minę. – Uśmiechnęła się złośliwie, ukazując niepełne uzębienie.

– Bardzo zabawne, wiesz? A więc to cię śmieszy: robienie na złość innym ludziom?!

– Chciałaś usłyszeć mój śmiech, to masz. – Obszczydupka wyglądała na niezwykle z siebie zadowoloną.

– Tak? To masz tu swoją herbatkę! – Jadwiga wskazała na kałużę, po czym odmaszerowała do domu, zatraskując Obszczydupce drzwi przed nosem.

– Ej, Jadźka, co ty robisz! – Gienka zaczęła walić pięściami w drzwi. – Nie zostawiaj mnie samej w środku nocy! Bóg cię opuścił czy co?!

Jadźka zwlekała chwilę, napawając się histerycznymi krzykami Obszczydupki, po czym odsunęła skobel. Gien-

ka wpadła do sieni z potarganym włosom i zaczerwienioną twarzą.

– Nienormalna jakaś – wycodziła, nie patrząc na nią. Pomaszzerowała wprost do izby. Usiadła przy stole i odwróciła się do ściany, obrażona.

– Uff, będzie chociaż chwila ciszy – rzuciła w jej stronę pani Sosna. Usiadła na stołku w drugim końcu kuchni i wróciła do przerwanej wyszywanki. Przybycie Obszczydupki trochę zajęło jej umysł, jednak w ciszy złe myśli zaczęły powracać. Minęło już tyle czasu...

Pod domem znowu coś zaszeleściło. Jadwiga aż ukłuła się z przejęcia w palec, lecz po chwili strach ustąpił miejsca uldze; Zdzisław i Barbara wracali do domu.

4

Spekulacje

Drzwi do izby kuchennej otworzyły się ze skrzypnięciem, a w progu stanęli pan Sosna z córką.

– Basińko! – krzyknęła Jadwiga i zerwała się ze stołka, by uściskać Baśkę. – Nic ci nie jest?

– Zdzisiek! – krzyknęła Obszczydupka i pobiegła uściskać Zdzisława.

– Mamo, przestań, nie rób siary. – Barbara wyrwała się z objęć matki.

– Gienka, co ty...? – Zdzisław próbował delikatnie odsunąć Obszczydupkę, która przyłgnęła do jego piersi jak dziecko szukające ukojenia w ramionach rodzica.

Jadwiga puściła Barbarę i zgromiła wzrokiem pana Sosnę i wtuloną w niego kobietę.

– To już przechodzi ludzkie pojęcie – wyszczała, bezceremonialnie ciągnąc Gienkę za suknię. – Żeby w moim własnym domu, pod moim własnym dachem rzucać się na mojego własnego męża...

Obszczydupka niechętnie się odsunęła, pochlipując cicho.

– Jadwiniu, nie denerwuj się, to z tych emocji – powiedziała cieniutkim, mdlejącym głosikiem, ostentacyjnie ocierając z kącika oka niewidzialną łezkę.

– Znaleźliśmy Andżelikę – rzuciła Baśka na odchodnym i zniknęła w swoim pokoju.

Smutek Obszczydupki momentalnie przerodził się w lament.

– Och, moja córeczka, moja córeczka, co z nią... – zawołała, załamując ręce.

Zdzisław położył rękę na ramieniu Genowefy, popychając ją w stronę ławy.

– Gienka, uspokój się. Usiądź, proszę, zaraz wszystko opowiem. Sytuacja jest... pod kontrolą.

– Ale... ale... czy ona... czy nic jej nie jest... moje... moje dziecię pierworodne, mój kwiatusek najmilszy... – Gienka wyjęła z torebki chusteczkę i głośno wydmuchała nos.

– Co za szopka. – Jadwiga z niesmakiem pokręciła głową.

– No więc – podjął Zdzisław – tak jak myślałaś. Andżelika była w Zagajniku Rucaly.

– A-a gdzie teraz jest moje dzieciątko? Kiedy ją ujrzę? – Genowefa złożyła ręce jak do modlitwy i zatrzepotała mokrymi od łez rękami. Tusz spływał jej po twarzy.

– Jak by to ująć... – Zdzisław głośno przelknął ślinę, drapiąc się bezradnie po lysiejącej głowie. – Niestety jej stan zdrowia jest nieco... nadszarpnięty. Pan Brancki wraz z grabarzem zanie... pomogli jej udać się do Zielarki.

– Z grabarzem? – wypaliła Jadwiga.

Obszczydupka zaczęła przeciągle wyc, szarpiąc się za włosy. Wypłowiasty kapelusik spadł jej z głowy i wylądował pod stołem.

– Uspokój się, Gienka. To nie to, co myślisz. – Zdzisław kucnął obok niej, chwycił ją za ramiona i pogłaskał uspokajająco. – Grabarz znalazł Andżelikę, ale ona żyje. Nic jej nie będzie.

– Ach, moje serce. – Obszczydupka teatralnym gestem chwyciła się za pierś.

– Pewnie chcesz ją jak najszybciej odwiedzić. Mogę cię odprowadzić – zaproponował pan Sosna, wstając z kucek.

Obszczydupka gwałtownie pokręciła głową, aż roztrzepane loki jeszcze bardziej się rozprostowały.

– Nie, nie, lepiej zostań tu.

Jadwiga podeszła do niej z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Niby dlaczego masz tu zostać? – zapytała oschle. – Przecież tak się spieszyłaś do córki.

– No właśnie – powiedział Zdzisław zbity z tropu.

– Ależ oczywiście, że tak! – broniła się Obszczydupka. – No ale... mówisz, że jest u Zielarki, czyli pod dobrą opieką. Nic jej nie grozi. Odwiedzę ją jutro. Obawiam się, że jestem dziś zbyt słaba... – Przyłożyła dłoń do czoła, jakby już mdlała, i zaczęła się kiwać w przód i w tył.

Zdzisław się zamyślił.

– Hmm, no dobrze. W takiej sytuacji możesz przenoćować u nas.

– O, po moim trupie! – oburzyła się Jadwiga. Pociągnęła męża za rękaw koszuli, próbując odciągnąć go na bok. – Zdzisław, pozwól no na moment...

– Dziękuję ci, Zdzisiu, dziękuję, jestem taka wykończona. Tak się martwiłam, tak płakałam, jeszcze gotowa zemdleć.

Państwo Sosnowie odeszli w drugi kąt pomieszczenia. Jadwiga mówiła jednak tak głośno, że Genowefa bez problemu mogła wszystko usłyszeć.

– Ta purchawa nie zostanie ani chwili dłużej w moim domu. Ona udaje, nie widzisz? Tylko się zgrywa, a tak naprawdę chce po prostu być bliżej ciebie.

– Jadwigo, jak możesz...

– Zdzisiek, ona się na mnie uwzięła! – Obszczydupka zerwała się z ławy z niespodziewaną werwą. Podbiegła do Zdzisława i chwyciła go za ramię. – Najpierw kazała mi się śmiać ze swoich żartów, chociaż mi w ogóle nie było do śmiechu w zaistniałej sytuacji. Potem groziła, że wyleje na mnie wodę z imbryka, a na koniec wyrzuciła mnie za drzwi, nie chciała wpuścić do izby i kazała pić wodę z kałuży!

– Jadwigo, czy to prawda? – Pan Sosna popatrzył surowo na małżonkę.

Jadwiga chwyciła drugie ramię Zdzisława i zaczęła go ciągnąć w swoją stronę.

– Nie, ona wszystko przekręca! Jak tu przyszła, to w ogóle jej nie obchodziło, co z Andżeliką.

Obszczydupka pociągnęła Zdzisława do siebie.

– Wcale mi nie współczuła w obliczu mego nieszczęścia!

Jadźka próbowała, dosłownie i w przenośni, przeciągnąć męża na swoją stronę, jednocześnie wychylając się do Obszczydupki.

– W ogóle ci nie było przykro, przyszłaś tu tylko po to, żeby bałamucić mi Zdziśka! – wyszczała.

Gienka mocno szarpnęła Zdzisławem.

– Nie chciała mi nawet podać herbaty i poszczuła mnie święconą wodą!

Pan Sosna gwałtownie wyrwał się im obu.

– Dosyć tego! – huknął. Był z natury spokojnym człowiekiem i rzadko podnosił głos, więc gdy się do tego uciekał, sprawa była poważna. Obie kobiety natychmiast potulnie zamilkły. – Jadwigo, czy to wszystko prawda?

– Nie, to wcale nie było tak.

– A właśnie że było! – pisnęła Obszczydupka.

– Spokój! – krzyknął ponownie pan Sosna. – Jadwigo, odpowiedz tak lub nie: czy wyrzuciłaś Gienkę z domu i nie chciałaś jej wypuścić?

– Tak, ale...

– Nie mam więcej pytań.

Obszczydupka nieudolnie próbowała ukryć uśmiezek satysfakcji, który wypełznął jej na twarz.

– Gienko, oczywiście możesz przenocować u nas. – Zdzisław zwrócił się w stronę gościa. – Myślę, że pokój Basi będzie dla ciebie odpowiedni.

– O nie! – zaprotestowała Barbara, wychylając głowę zza futryny drugiej izby. – A ja gdzie będę spać?

– Z nami w łóżku.

– Tylko nie to...

– Tak, to będzie bardzo niewygodne – wtrąciła się Jadwiga. – Basia powinna zostać u siebie, ona musi się wysypiać. A dla pani Obszczydupki proponuję składzik, tam powinna czuć się jak w domu.

Zdzisław zmierzył żonę chłodnym spojrzeniem.

– Jadwigo, skończ swoje złośliwe uwagi, już wystarczająco się dzisiaj popisałaś.

– O co ci chodzi, Zdzisiek? Przecież spiżarnia jest odremontowana, świeżo odmalowana, powinna się nadać. – Pani Sosna wskazała pobielane drzwi zamknięte na zaszczipkę.

– Nie ma w niej miejsca na łóżko.

– Można się wygodnie ułożyć na podłodze. To podobno bardzo dobrze pomaga na reumatyzm.

Gienka zaczęła pociągać nosem.

– Dlaczego ona się tak nade mną znęca? – wychlipała, ocierając oczy chusteczką.

– Dosyć, powiedziałem. – Pan Sosna wskazał Genowefie drzwi pokoju Barbary. – Gienko, lepiej idź się położyć. Chodź, dam ci nową pierzynę.

Gdy tylko wyszli z izby, Barbara podbiegła do matki.

– Mamo, naprawdę kazałaś pani Obszczydupce pić wodę z kałuży? – zapytała z rozbawieniem.

Jadwiga uśmiechnęła się szelmowsko.

– No, poniekąd.

– I wyrzuciłaś ją z domu?

– Tak, ale to długa historia... Barbara, jak ty wyglądasz?!

W ferworze walki z Obszczydupką Jadwiga nie spostrzegła niecodziennego stroju córki.

– Pożyczyliśmy te łachy od Braneckiego – wyjaśnił Zdzisław, zamykając za sobą drzwi. – Basia nie mogła łązić po łąkach w spódnicy.

– Proszę się natychmiast przebrać! – poleciła Jadwiga.

– Ale, mamo, mi się to ubranie podoba...

– Bez dyskusji! I marsz do łóżka, późno już.

Barbara się skrzywiła.

– Ale ja chcę się dowiedzieć, jak tam Andżelika. Pan Branecki ma do nas wstąpić, jak wróci od Zielarki.

– To dowiesz się rano.

– Mama ma rację, wystarczy ci wrażeń na dziś. – Zdzisław tym razem przytaknął żonie.

– A niby gdzie mam spać? Oddaliście Obszczydupce mój pokój – fuknęła Barbara, krzyżując ręce na piersi.

– W naszym łóżku. My jakoś sobie poradzimy.

Barbara wzruszyła ramionami i podreptała w stronę sypialni państwa Sosnów.

– Chyba musimy poważnie porozmawiać, Jadwigo – powiedział Zdzisław, kiedy córka zniknęła z pola widzenia.

Jadwiga od razu przyjęła postawę ofensywną.

– Ze mną porozmawiać, ze mną? Chyba ja z tobą! Jak możesz mnie tak traktować? Ta raszpla z drutu wszystko przekręca, a ty jej bezgranicznie wierzysz.

Zdzisław z ciężkim sapnięciem usiadł na ławie. Oparł łokcie na stole, a dłońmi zaczął masować zmęczoną twarz.

– Jadziu – odparł nieco łagodniej. – Czy ty naprawdę myślisz, że ja jestem taki głupi? Że nie widzę, jakie z Obszczydupki ziółko?

– Tak? To dlaczego jesteś dla niej taki przymilny?

– Nie przymilny, tylko gościnnie. Sama zawsze mi trujesz, jak to trzeba być miłym dla gości, gość w dom, Bóg w dom, co ludzie powiedzą i inne takie.

Panią Sosnę wyraźnie zmieszały jej własne słowa, lecz zaraz odparła hardo:

– Owszem, mówię... ale to nie dotyczy Obszczydupki. Jej w tej wsi i tak nikt nie uważa.

Zdzisław westchnął ciężko.

– Jestem sterany tym wszystkim. Zrobisz mi herbaty?

– Wody nie ma – wypaliła Jadwiga z pretensją w głosie. – Zgadnij, czyja to wina.

– Naprawdę nie możesz zrzucić wszystkiego na Obszczydupkę. Jak zerwie się huragan, to też powiesz, że to jej wina?

– Oczywiście! To będzie kara boska za jej grzechy.

Zdzisław ukrył twarz w dłoniach, bezradnie kręcąc głową.

– Oj, Zdzisiu, nie obrażaj się. – Jadwiga podeszła do męża i położyła mu dłonie na ramionach. – Mówię prawdę i tylko prawdę. Obszczydupka mnie nastraszyła i upuściłam wiadro. Wszystko się wylało.

– Możesz pójść jeszcze raz? Gardło mam wyschnięte na wiór. Zmęczony jestem.

Jadwiga popatrzyła bezradnie na ciemności za oknem.

– Zdzisiu, wiesz, że ja dla ciebie wszystko, ale... w zaistniałej sytuacji to nie wchodzi w grę.

Zdzisław opuścił dłonie i przekręcił się bokiem, by spojrzeć na żonę.

– Co się stało? Bóg za grzechy Obszczydupki zesłał plagi egipskie na nasz dom i woda w studni wyparowała?

Jadwiga obeszła stół i usiadła na ławie naprzeciwko niego.

– Zdzisiek, słuchaj, co ja dzisiaj przeżyłam, Kyrie eleison, dotąd mi się ręce trzęsą...

Pokrótkie zrelacjonowała wydarzenia tego wieczoru: stukot kopytek na schodach, zapach siarki i dziwną sylwetkę na drodze.

– Poczekaj, podsumujmy fakty... – przerwał jej pan Sosna, splatając palce pod brodą. – Zobaczyłaś jakąś pokracczną istotę, a potem zapukała Obszczydupka? No to chyba jasne, kogo widziałaś.

– Nie, to nie mogła być ona! – przerwała mu z pasją Jadwiga. – To znaczy tu muszę przyznać ci rację: sylwetką Obszczydupka bardzo pasuje do opisu, ale ona z pewnością nie umie się śmiać tak... nieludzko. No i na pewno nie śmierdzi od niej siarką.

– Siarką? To też żaden dowód. Pewnie ktoś znowu nielegalnie palił stare gumowce w ognisku i Obszczydupka, idąc tutaj, przesiąkła zapachem spalenizny.

– Jestem przekonana, że to nie ona. Obszczydupka co najwyżej śmierdzi tanimi perfumami i naftaliną, ale nie siarką. Poza tym siarkę czułam wcześniej, jeszcze zanim ta pokraka władowała mi się do chałupy.

– No cóż... – Pan Sosna odchylił się na ławie, rozprostowując kości. – Wciąż mnie to nie przekonuje. Czasem nocą widzi się i słyszy różne rzeczy, na przykład jakąś rękę za szybą, a potem rankiem okazuje się, że to tylko stary konar stukał o okno. Chociaż z drugiej strony, biorąc pod uwagę tę sprawę z Andżeliką... – zamilkł nagle.

Jadwiga pochyliła się nad stołem. Pałąca się obok lampa malowała na jej twarzy mozaikę dziwacznych cieni, uwypuklając duże oczy i kości policzkowe.

– Rzeczywiście – powiedziała. – Przez głupią Obszczydupkę całkowicie zapomniałam, o co w ogóle tyle hałasu. Co z Andżeliką? Jak ją znaleźliście? Niczego konkretnego nie powiedziałaś.

Zdzisław skinął głową.

– Nie chciałem wdawać się w szczegóły przy Obszczydupce, już wystarczająco się dzisiaj wycierpiała. Niech ochłonie do rana i wtedy z nią porozmawiam.

– No dobrze, ale mnie możesz powiedzieć. Co dokładnie zaszło?

– Nie wiem. To znaczy – dodał prędko – Branecki ma pewną teorię, ale wolę, żeby sam opowiedział. Jedyne, co wiem na pewno, to to, że na Andżelikę ktoś napadł w Zagajniku Rucaly.

– Kyrie eleison, ale nic jej nie jest?

– Obrażenia nie wydają się poważne, kilka zadrapań, ale była nieprzytomna. Bez namysłu zdecydowaliśmy, że trzeba ją zabrać do Zielarki. Ona już będzie wiedziała, jak się nią zaopiekować.

– Czy... czy wiadomo, na jakim tle to był atak? – Jadwiga uważnie chłonęła każde słowo męża.

– Na razie niczego nie jesteśmy w stanie stwierdzić.

– To ja może jednak zrobię tej herbaty. Do Zielarki jest kawał drogi, nie wiadomo, kiedy Branecki wróci. A ja po tych rewelacjach na pewno nie zasnę.

Zdzisław, odpocząwszy nieco, wspaniałomyślnie zgodził się przynieść wody. Państwo Sosnowie zdążyli już wypić dwa kubki herbaty i zaparzyć trzeci, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– No nareszcie – powiedział Zdzisław i poszedł otworzyć.

– Uszanowanie, pani Jadwiniu – przywitał się Branec-ki, wchodząc do izby. Uchylił z kurtuazją kaszkietu.

– Dobry wieczór, panie Ryszardzie. Miło, że pan do nas zawitał. Szkoda tylko, że w takich okolicznościach. – Jadwi-ga wstała od stołu i wskazała sąsiadowi miejsce na ławie. – Proszę spocząć. Może herbatki się pan napije?

– Nie, bardzo dziękuję, ale jest już późno. Muszę wra-cać do spania, bo rano oporządek, nikt za mnie tego nie zro-bi, syn wyjechał, wie pani.

– Usiądź chociaż na chwilę – zaproponował Zdzisław. – Musisz nam wszystko opowiedzieć.

– No dobrze. – Sąsiad zajął miejsce na ławie pod oknem. Odłożył kaszkiet na stół i przejechał dłonią po zmierzwio-nych blond włosach.

– Co z Andżeliką? – zapytał pan Sosna, siadając na-przeciwko niego.

Jadwiga przysunęła się do męża, wpatrując się z wycze-kiwaniem w Braneckiego.

– Stan jest stabilny, ale nadal się nie wybudziła.

Zdzisław pokiwał głową w zamyśleniu.

– A co... co z twoją hipotezą?

– Wciąż ją podtrzymuję.

Jadwiga przenosiła wzrok to na męża, to na sąsiada.

– Jaką hipotezą? Możecie mnie wprowadzić?

Braneccki milczał przez chwilę, drapiąc się po karku. Spojrzał na Zdzisława, próbując wyczytać, co on sądzi na ten temat. Pan Sosna miał nieodgadnioną minę.

– No cóż – podjął w końcu pan Branecki – nie chcę was wytrącić z równowagi. To na razie tylko teoria, wymaga głębszego zbadania... ale w zaistniałej sytuacji jestem zdania, że lepiej dmuchać na zimne. I być świadomym możliwego zagrożenia.

Jadwiga przyłożyła dłonie do piersi.

– J-jakiego zagrożenia, panie Ryszardzie? – wyjąkała.

Mężczyzna splótł palce na stole, kręcąc młynka kciukami.

– Jak pani zapewne wie, ja dużo czytuję. Ostatnią moją namiętnością są książki poświęcone... jak by to ująć... istotom trochę bardziej niecodziennym niż te, które na co dzień widuje się w Wisłowicach. Jak się jednak okazuje, jedna z takich istot mogła być sprawcą całego zamieszania.

Jadwiga zmarszczyła brwi.

– Pan wybaczy – odparła – ale ja nie bardzo rozumiem. Jaką istotę ma pan na myśli?

Branecki rozplótł palce i postukał nimi nerwowo w blat.

– Jak mówiłem, to jeszcze nic pewnego. Nie chcę się siać niepotrzebnej paniki. Ale z drugiej strony wszystko pasuje jak ulał. To nie może być przypadek...

– Panie Ryszardzie, proszę do rzeczy.

– No dobrze. – Sąsiad westchnął głęboko. – Są podstawy, by przypuszczać... by przypuszczać, że na Andżelikę napadł wilkołak.

Pani Sosna otworzyła szeroko usta. Przeniosła skonsternowany wzrok z sąsiada na Zdzisława. Jej mąż powiedział spokojnie:

– Są podstawy, jednak to nic pewnego.

– Nic pewnego, ale bardzo prawdopodobnego – wypalił Branecki z niespodziewaną mocą. Blask odbijający się w jego oczach zdawał się pochodzić z wewnętrznego ognia, a nie ze stojącej na stole lampy. – Ostatnio dużo czytuję zarówno o rzadko spotykanych zwierzętach, jak i istotach zmiennokształtnych. A obrażenia na ciele Andżeliki... te ślady pazurów, te otwory po kłach, to wszystko wygląda niczym rysunki żywcem wzięte z *Bestiariusza*, rozdział siódmy: *Czarownice, wampiry i inne istoty o niejasnym statusie ontologicznym*. – Branecki mówił z pasją, niczym szalony naukowiec o swoim nowym projekcie. Wizja wilkołaka grającego w Wisłowicach zdawała się go bardziej fascynować, niż przerażać. – Oczywiście muszę to jeszcze zweryfikować, by mieć pewność – dodał nieco spokojniejszym tonem. – Jutro doczytam wszelkie szczegółowe informacje, jak średnica kłów i wymiary pazurów, i sprawdzę, czy wszystko się zgadza.

– Ale, ale, panie Branecki... – Jadwiga pokręciła głową, jakby próbowała się otrząsnąć ze złego snu. – Przecież taki wilkołak to dzika bestia. Raczej nie napadłby na nikogo w celu kradzieży czy... hm... zaspokojenia żądzy. Gdyby to był wilkołak, to po Andżelice raczej nie byłoby co zbierać.

– No właśnie niekoniecznie. – Teraz Branecki mówił tonem doświadczonego wykładowcy. – Wilkołaki, jako istoty mające cechy zarówno ludzkie, jak i zwierzęce, mają bardzo zmienną naturę. Nie bez kozery należą do istot zmiennokształtnych. Być może celem ataku było poskromienie rosnącej żądzy krwi, którą jednak przytępiła ludzka strona oprawcy.

– Skąd taki wilkołak wzięłby się w naszej wsi? Nigdy nie słyszałem, żeby w Wisłowicach krążyły słuchy o wilkołaku. – Zdzisław włączył się do dyskusji.

– Problem w tym, że delikwent wcale nie musiał pojawić się w wiosce niedawno – odparł pan Branecki, dramatycznie ścisząc głos.

– Jak to? – zdziwiła się Jadwiga. – Nawet gdyby ukrywał się w lesie, jest duże prawdopodobieństwo, że ktoś by go spotkał wcześniej.

– Tu objawia się niestety błędne myślenie o tych stworach. Nie wszystkie istoty zmiennokształtne są w takim samym stopniu wilkami i ludźmi. Niektóre mogą bardzo przypominać ludzi i niezauważone żyć w ludzkiej społeczności. Do czasu, aż pradawne instynkty zaczną brać górę...

Na chwilę zapadła głęboka cisza. Jadwiga głośno przełknęła ślinę.

– To znaczy – powiedziała – że wilkołakiem może być jakiś zwykły mieszkaniec wioski, którego znamy od lat?

– Nie możemy wykluczyć takiego wariantu.

– A czy wilkołaki przypadkiem nie zmieniają postaci tylko w czasie pełni? – zapytał Zdzisław sceptycznym tonem.

– Nie, to popularny mit. Wilkołakiem jest się całe życie. Można maskować gęste owłosienie albo kły, ale prawdziwej natury się nie zamaskuje.

– Aha! – krzyknęła niespodziewanie Jadwiga, aż obaj mężczyźni się wzdrygnęli. – To już mamy odpowiedź. Doskonale wiem, kto jest tym wilkołakiem – odparła z rozbrajającą pewnością.

– Niby kto? – zapytał Zdzisław.

– Obszczydupka!

Pan Sosna tylko westchnął z politowaniem.

– A właśnie że tak! – Jadwiga popatrzyła na sąsiada, szukając w nim oparcia. – Panie Branecki, ona w ogóle się nie przejmowała stanem córki, nawet nie poszła jej odwiedzić. Jaka normalna matka tak robi? Założę się, że to ona sama napadła na Andżelikę, żeby mieć pretekst do spotkań ze Zdziśkiem. Albo po prostu chciała się jej pozbyć, bo już jej się znudziło matkowanie. Mało to było przypadków morderczyń dzieci? Dwa-dziesięć lat temu, na przykład, ta nienormalna Teresa, pamiętacie? Utopiła niemowlę w studni. Myślicie, że Obszczydupka ma więcej skrupułów od takiej Teresy?

Branecki przez chwilę tylko przygryzał wargę, widocznie nie wiedząc, co odpowiedzieć. W końcu przemówił, starannie ważąc słowa:

– To bardzo poważne oskarżenia, pani Jadwigo. Myślę, że mamy za mało dowodów, żeby podejrzewać panią Genowefę. Tak jak mówiłem, nie wiemy nawet, czy teoria o wilkołaku...

– Ryszard, nie słuchaj jej – przerwał mu pan Sosna. – Jadwiga ma trochę na pieńku z Obszczydupką i z tych nerwów wygaduje głupoty.

– Wcale nie... – zaczęła Jadwiga.

– Lepiej ochłońmy wszyscy i poczekajmy z osądami do rana – dodał Zdzisław z naciskiem. – Jutro postanowimy, co w tej sprawie robić dalej.

– To rozsądna myśl – skwitował Branecki.

– A ja i tak wiem, że to Obszczydupka – odparła Jadwiga, krzyżując ręce na piersi jak obrażona dziewczynka.

Sąsiad szybko się pożegnał, zabrał kaszkiet i wyszedł. Zdzisław wstał od stołu, popatrzył na żonę, wymownie kręcąc głową, i podreptał na strych, żeby przytargać sobie starą koldrę. Umościł ją w izbie kuchennej na nadpiecku i po chwili chrapał na całego. Jadwiga jeszcze chwilę siedziała przy stole, w zamyśleniu spoglądając w okno.

Miało się już ku wschodowi słońca, kiedy w domostwie Sosnów zgasły światła i wszyscy jego mieszkańcy w końcu pogrążyli się we śnie.